

LUBELSKIE

WIADOMOŚCI MUZYCZNE

CZASOPISMO

WYCHODZI DWA RAZY W MIESIĄCU

№ 3.

Lublin, 11 marca 1937 r.

Rok I.

O KULTURZE MUZYCZNEJ W LUBLINIE

(Wywiad z P. Prezydentem Miasta Bolesławem Liszkowskim)

W bieżącym sezonie życie muzyczne pulsuje — w stosunku do lat ubiegłych — żywiej i jakby pewniej, szczególnie daje się to zaobserwować na terenie T-wa Muzycznego. Zwróciliśmy się przeto do P. Prezydenta *Bolesława Liszkowskiego*, jako głowy i gospodarza naszego grodu, z prośbą o udzielenie swych cennych uwag co do realizowanych zamierzeń w dziedzinie muzyki i wskazań na przyszłość.

Pan Prezydent zastrzega się, że jako „laik” będzie mówił o zagadnieniu kultury muzycznej z punktu widzenia jednostki społecznej, obserwującej od szeregu lat wszelkie fazy życia muzycznego w Lublinie.

1) Co Pan Prezydent sądzi o linii społeczno-kulturalnej kierowniczych sfer muzycznych?

„Otóż to właśnie. W poczynaniach naszych czynników na tak ważnym pod względem wychowawczym odcinku sztuki muzycznej, linii planowej i konkretnej nie widzę. Dzieją się od czasu do czasu pewne wydarzenia muzyczne, urządzi się koncerty od wypadku do wypadku, co może zadawać garsstkę melomanów, ale masy inteligencji nie porusza. A w tym wypadku wszelkie wysiłki ludzi ofiarnych i ludzi dobrej woli — pójdą na marne.

Lublin jest wprawdzie miastem większym, mało oddalonym od Warszawy i aby zogniskować swoje własne życie muzyczne musi posiadać zwartą, świadomą swych celów grupę ludzi powołanych i oddanych idei. Tymczasem widzimy jednostki, jednostki bezsprzecznie wartościowe, chodzące luzem i działające w pojedynkę”.

2) Jakie wskazania Pan Prezydent nam by udzielił?

„Skomasowanie wysiłków. Ułożenie wspólnego programu w działaniu. I trzeba przede wszystkim skierować akcję wychowawczą do dołów. Jest w Lublinie orkiestra symfoniczna, są chóry, są soliści. Należało by urządzać poranki muzyczne, w pewnych z góry określonych odstępach,

o programie dostępnym, popularnym. Oczywiście poranki te musiały by być poprzedzone wstępnym słowem. Trzeba ludziom przecież wytłumaczyć o czym mowa w dźwięku, trzeba je uczyć. Jest to wdzięczne pole i nie tylko dla indywidualnego popisu, ale i dla twórczej pracy wychowawczej, bowiem w masach tkwi odczucie piękna muzyki, głęboko zakorzenione pod warstwą poniekąd narzuconej obojętności, której nie ma komu usunąć.

Natomiast dla góry należy, rzecz prosta, dawać muzykę poważniejszą, ale i na tym wyższym szczeblu sztuki muzycznej, wobec radiowych na wysokim artystycznym poziomie koncertów, nieodzownym jest, jak już wspomniałem, skoordynowanie prac jednostek twórczych, aby słuchacz o wybrednym smaku chciał słuchać muzykę w Lublinie”.

3) Jakie są możliwości dla wspomnienia w ten sposób pojętej reorganizacji dezyderatów kulturalno-muzycznych?

„Pytanie te rozdzielimy na dwa pytania: pomoc społeczeństwa i pomoc samorządu.

Otóż pomoc społeczeństwa dała by się oczywiście przez zorganizowanie szeroko zakrojonego Towarzystwa Miłośników Muzyki, które siłą rzeczy musiało by powstać, gdyby wychowawcze podejście do pragnień społeczeństwa stało by się widocznym i trwałym.

Pomoc samorządowa oczywiście nie była by tu pustym dźwiękiem. Miasto wprawdzie środków posiada nie wiele, mimo to kontynuuje intensywną pracę kulturalną i każdą akcją przemyślaną i planową zawsze w miarę swych zasobów popierać będzie”.

Żegnając P. Prezydenta dziękujemy serdecznie za udzielenie wywiadu dla naszego pisma.

Wł. Wierzbicki.

EUGENIUSZ DZIEWULSKI

Wrażenia z wyprawy do Katowic

Gorączkowo pakuję dość pokaźną paczkę nut. Są to nuty na orkiestrę, utworów umieszczonych w programie koncertu w Katowicach, który ma się odbyć pod moją dyрекcją. Spoglądam na zegarek. Do odejścia pociągu mam jeszcze dwadzieścia minut. Wskazówka już nie pozwala na skupienie się, czy wszystko zostało zabrane.

Woźny chwycił nuty i walizkę z frakiem — dwa nieodzowne akcesoria wyprawy kapelmistrzowskiej. Reszta, jak gdyby mniej ważna, niknie w głębi własnych przeżyć, skromnie kryjąc tak zwaną „tremę” najlepszemu towarzysza artysty, umiejającego wzbudzić i ustąpić miejsca głębokim wzruszeniom.

Pociąg rusza. Znikające sylwetki oświetlonego Lublina nikły w szarej nocy.

Pograżyłem się w zamyśleniu. Przed zamkniętymi oczami piętrzyły się znaki nutowe, tworząc grupy dziwacznie spoglądające w moją zasnęłą podświadomość. Starałem się wyczytać z nich treść splełanych urywków muzycznych, zawartych w dziełach w paczce nutowej, umieszczonej w siatce nad moją głową. Chwilami z poza tych grup nutowych wylaniały się smyczki, rytmicznie wcinające się w struny.

Obudził mnie gwizd pociągu i przygłuszony huk kół, miarowo uderzających w szyny. Pociąg przelatował przez jakiś most. Wyjrzałem przez okno. Mnóstwo uszeregowanych świateł u brzegów Wisły, jak prąd elektryczny, wyrzuciło mnie z siedzenia.

Nie wierząc swoim oczom zrobiłem ruch, jak gdybym chciał wyskoczyć z pociągu. Przespałem Dęblin, gdzie miałem się przesiąść do pociągu katowickiego. Nie było rady, trzeba było dojechać już do Warszawy.

Taszcząc ze sobą bagaż, wyszedłem, by znaleźć konduktora. Doznałem wrażenia człowieka podróżującego bezprawnie.

Przygoda została zlikwidowaną bardzo szybko. Za kilkanaście minut odchodził pociąg z Warszawy do Katowic, zdążyłem więc jeszcze przetranszkować się.

Byłem sam w przedziale. Poczułem ulgę, że nie spóźnię się na próbę.

Przypuszczam, że uczucie jakiegoś niewyraźnego lęku musi towarzyszyć wielu podobnym do mnie. Miałem przecież zaprezentować się w bardzo ważnej podwójnej roli: jako kompozytor i dyrygent. Czy możliwe jest przewidzieć, jak się zostanie przyjętym przez publiczność i krytykę.

Nie chciałbym zadrasnąć ambicji krytyków choćby dlatego, że w wielu z nich wyczułem, nawet w przygodnym zetknięciu się, prawdziwych przyjaciół, w sumieniu swym i własnym przekonaniu czystych pionierów tej wiecznie młodej i niekończącej się sztuki — jaką jest i będzie muzyka.

Może nie wynaleziony jeszcze tytuł, że tak powiem, tego urzędu, stwarza nie właściwą formę współpracy tych dwóch czynników: artysty i krytyka...

Nazwa „krytyk” nic nam nie mówi, raczej mówi o stronie ujemnej w podejściu do istoty i zagadnień promieniowania twórczego i odtwórczego...

Samo słowo „krytyka” w pojęciu bezpośrednim musi być czymś, co krytykuje, inaczej mówiąc, nastawia się krytycznie. A więc jakiś urząd do wylapywania błędów, do szukania i nośowania — jak to jest w sporcie — punktów karnych: (komuś tam na trąbce, od przemęczenia ust, nie udało się jakiś dźwięk, kołista osłabił w uwadze i nie nadał odpowiedniego akcentu figurce rytmicznej i inne możliwości, uzależnione od organizmu ludzkiego, nie mające prawa mówić i świadczyć ujemnie o artyście).

Czy to jest istotne?

Nasuwa się druga nazwa często również używana: „Sprawozdawca”. Jakiś obojętny czynnik, czy to pojedynczy, czy też zbiorowy, daje sprawozdanie, mniej lub więcej dokładne, w zależności od jego kwalifikacji w danym temacie, o tym co się widziało i słyszało,

Tacy sprawozdawcy w ubiegłym stuleciu dużo uwagi poświęcali publiczności: jak wyglądała, jakie panie miały toalety i tym podobne informacje, wkraczające w życie towarzyskie.

To może i miało swój sens głębszy, niż nam się na pozór może wydać. Przecież poza twórcami, odtwórcami i krytykami jeszcze jest publiczność — ta słuchająca i pojawiająca się na koncercie dla doznania wrażeń artystycznych i estetycznych... Są między tymi też tacy, którzy już są w przededniu, a w każdym razie na drodze przejścia na tę stronę — promieniująca.

Przy której więc grupie miałby pozostać krytyk czy sprawozdawca?

Jeśli by był w grupie tych słuchających i odczuwających, oczywiście w zależności od osobistych intelektualnych możliwości, musiałby pisać o swoich wrażeniach, o nastroju, jaki wywarł na niego koncert. — I to dla nas wykonawców byłoby może ważniejsze, chociaż zupełnie nie mówiące o istotnym stanie rzeczy, gdyż ktoś obok zupełnie inaczej mógł odczuć i zrozumieć dany moment muzyczny.....

Ale to niema znaczenia dla artysty, bo działanie promieniowania muzycznego jest pozawymiarowe, aczkolwiek ujęte w formę rzekomej treści.

Taki krytyk nie ma prawa brać na siebie odpowiedzialności uogólniania swoich wrażeń. Stworzyłby się wtedy chaos straszny i bezpojęciowość, gdyby na raz na sali wszyscy zechcieli uogólnić swoje wrażenia.

„Sprawozdawca” z koncertu musiałby być człowiekiem stojącym przy grupie wykonawczej, demaskując przed słuchaczami koncertu, a co gorsza i przed tymi, których nie było, wszelkie błędy techniczne i konstrukcyjne. To jakby ktoś stojący ponad poziomem wykonawczym — wielki erudyta i wszechstronny znawca, nie w zarysie wszystkich rozgałęzień sztuki muzycznej, jak twórczej tak odtwórczej.

Takiego sprawozdawcę musiałyby wynieść na właściwą wyżynę nie tylko jego osobiste podstawy artystyczno-naukowe, a i uznana bezstronność.

Wątpię, czybym miał śmiałość, poświęcając się zawodowi choćby przygodnie krytyka — czy sprawozdawcy, uogólniającego swoje osobiste wrażenia, samorzutnie wznieść siebie na tak bardzo odpowiedzialny piedestał.

Tak rozmyślałem leżąc wpatrzony w sufit przedziału...

Jakich ludzi spotkam? Czy będą należeli do kategorii powyżej wymienionych, ograniczonych ramami zwykłego szablonu, czy też będą do uczeni i odczuwający artyści w jednej osobie...

Przyszło mi naraz na myśl dziwne porównanie: mam stanąć przy pulpicie, mając do dyspozycji nieznaną mi orkiestrę i nieznanego solistę — to tak jak bym miał wsiąść do pojazdu, jako woźnica, trzymając mocno na cuglach, wprzężone i zespolowo nieujeżdżone konie o rozmaitym temperamentie, mając za sobą siedzącego pasażera. Często krytyk dla nas działających, jest przygodnym przechodniem, spotkanym przy takiej przejażdżce. Oczywiście, może to być nawet znawca koni. Naraz pasażer ze strachu w biegu zeskakuje, woźnica nie chcąc sam dojechać do celu ściąga konie, zwalnia biegu, psuje sobie tempo dojechania do mety, by pochwycić na bryczkę rozszalale uciekającego pasażera. Przechodzeń krzyczy: „Woźnica źle powoził, konie szarpnęły i pasażer wypadł”.

Kto, jak nie woźnica, konie, a przede wszystkim pasażer wiedzą jak w istocie to się stało?

Wreszcie dojeżdżamy do Katowic. Widocznie zdrzemnałem się rozmyślając. Wsiadłem już w ostatniej chwili, gdy pociąg ruszał w dalszą drogę. Była godzina 6 rano. Próba z orkiestrą, jak powiadomiono mnie, została wyznaczona na po południe. Miałem jeszcze dużo czasu.

Ruch w mieście nabierał rozpędu, wyjaskrawiając powracających, po trudach libacji nocnych, niedobitków o białych twarzach.

Jedną z takich grup spotkałem w sali restauracyjnej na stacji. Kazałem podać śniadanie. Obok właśnie zajęła miejsce przy stoliku grupa rycersko podpitych osobników, składająca się z trzech osób, należących, sądząc z ubrań, do elity towarzyskiej i jakiejś niewiasty bardzo różniacej się wyglądem, o zmęczonej, troską ciężkiego życia powleczonej twarzy. Rozmawiali po polsku i po niemiecku. Partie pustych kieliszków zamieniały wypełnione. Dzikie przytępienie na twarzach męskich i filozoficzne bładania z zagadnień życia, chwilami przybierały dość wybuchową formę, łamiąc się, gdy przy nagłym bohaterskim ruchu, kolejny mówca i pogłębiacz życia kulturalnego, tracił równowagę.

Kobietę zmuszana do picia, obojętnie wychylała kieliszek za kieliszkiem, wpatrzona w jakiś punkt przed siebie. Było to tak wyraźne patrzenie, że mimo woli odwróciłem głowę. W rogu na sali siedział jakiś osobnik w wyszarganym ubrańniu o głodnych oczach i tępej rezygnacji jakiegoś tragicznego zawodu.

Poczułem się nieswojo... Zapaliłem papierosa.

Tak to było dalekie od tego co przywiozłem z sobą. Nie czekając przyścia bagażowego, sam chwyciłem dość ciężką paczkę z nutami i walizkę i czym prędzej opuściłem stację.

„Wojewódzka 45” — zaanonsowałem szoferowi. Wielki czerwony gmach z napisem „Konservatorium Muzyczne” spojrział w szybę samochodu.

Poczułem się dobrze.

Wyjrzałem przez okno z gabinetu dyrektora Kulczyckiego. Tak przestałem długą chwilę. Czulem, że zewsząd, jakby od ścian i przedmiotów idzie do mnie serdeczny i przyjazny powiew. Drzwi się uchyliły. Wszedł Kulczycki. Podaliśmy sobie ręce i ucałowaliśmy się.

Chwile mijaly szybko... Tak dużo mieliśmy sobie do opowiedzenia. Do dziś jestem pod wrażeniem niezmordowanej woli organizacyjnej tego doskonałego muzyka i dobrego kolegi.

Przedstawiono mnie orkiestrze. Stałem przy pulpicie.

Rozejrzałem się. Zakomunikowano mi, że skrzypków pierwszych i drugich będzie więcej, jak również i koncertmistrz pierwszych skrzypków prawdopodobnie weźmie udział w koncercie.

Przyznam się, że nie wzbudziło to lęku we mnie. Słyszałem o Katowickiej orkiestrze symfonicznej dużo uznania za jej poziom. Co prawda, miałem mieć tylko trzy próby.

Rozpoczęliśmy symfonią 6-tą Czajkowskiego. Trzeba było śpieszyć, nie było czasu na bładanie że nie ma skrzypków, koncertmistrza czy też, że jeden z waltornistów nie mógł trafić w odpowiednią skalę. Program był obliczony przy granu bez przerwy na prawie dwie godziny.

Zorientowałem się od razu, że niema mowy o wykonaniu dzieł mego programu w formie głęboko przemyślanej i wystudiowanej w partyturach z oznaczonymi przezemnie czerwonym i sinym ołówkiem fragmentami indywidualnych myśli i konstrukcji odtwórczych.

Tubista nie mógł sobie poradzić z instrumentem. Wszystkie tony brzmiały mu o pół tonu niżej. Po pewnych perswazjach sytuacja blachy została względnie uregulowana.

Od czasu do czasu, gdy w partyturze wylaniała się odpowiedzialna partia I-szej trąbki, spoglądałem ze smutkiem na puste miejsce w orkiestrze dośpiewując sobie brakujący motyw. Kierownictwo orkiestry, prawdopodobnie czując, że mogą być speszony takim stanem, uspakajalo, że na koncercie orkiestra zagra dobrze i że będę miał potrzebny mi skład, jak również koncertmistrza pierwszych skrzypiec. Radziło mi również żeby nie tracić czasu na wypracowywanie szczegółów, lub ujednostajnianie ruchów smyczków, gdyż istotnie czasu wystarczy tylko na ogólnikowe zaznajomienie się z dziełami niegranymi.

Jedynie 6-ta symfonia Czajkowskiego była przed dwoma laty grana przez orkiestrę katowicką.

Tutaj właśnie praca była najgorsza, trzeba było dużo czasu strwonić na opanowanie przez orkiestrę rytmu 5-cio miarowego II-ej części.

Zmęczenie jazdą, próbami i myślami, zakończyło ten pierwszy dzień muzyka nieugięcie walczącego z rzeczywistością.

Wreszcie poznałem pianistkę. Zrobiła bardzo miłe wrażenie.

Przerażona, że tylko będzie mogła mieć dwie próby z orkiestrą: „Co to będzie? Ja się bardzo tremuję”. Miałem chęć zapytać, czy grała kiedy z orkiestrą i jak dawno, ale bałem się by nie zrobić jej tym zapytaniem przykrości. Koncert Schumana jest bardzo trudny.

Trzeba było zapoznać się z charakterem interpretacji solistki. Usiedliśmy przy fortepianie: ja z partyturą i ołówkiem w rękę. Praca poszła nam zupełnie poprawnie. III-cia część tylko była trochę nie wyraźna rytmicznie. W momentach, gdy pianistkę opanowywała trema, starałem się ją uspokoić zapewnieniem, że nawet jeśli zapomni jakiś fragment muzyczny, to mając rutynę dość wyrobioną w akompaniowaniu solistom, zawsze wyratuje i zresztą poradziłem, żeby posadziła obok siebie któregoś z uczniów Konserwatorium z nutami w rękę, by, w razie wypadku, nie dopuścić do katastrofy. Z resztą tak robią nawet najlepsi pianiści. Ujmy to więc nie przyniesie utalentowanej, ale jeszcze mało rutynowanej i nie obytej z orkiestrą, pianistce.

Na trzeciej próbie, ostatniej przed koncertem, wreszcie miałem komplet, — brakowało mi tylko trzeciej waltorni, ale smyczkowy zespół, choć nie równy w rutynie, był w całości.

Niedziela. Publiczność wchodziła na piękną salę koncertową, rześkie oświetloną. Pozostawało jeszcze pięć minut do rozpoczęcia. Orkiestra już była na estradzie. Czekałem na włączenie aparatury radiowej.

Zabłysła sygnałowa lampka. Wszedłem na estradę powitany oklaskami. Przypomniałem w momencie kłaniania się o swoich rozmyśleniach w ciągu: jak będę przyjęty przez publiczność i krytyków, którym będzie wolno napisać o moim występie wszystko co im się podoba — bo przecież imię moje nie ma jeszcze takiego rozgłosu, któryby kazał być ostrożnym w wypowiedzianiu swojego zdania. Może jak się coś nie podoba, wprost napiszą, że nazwa utworu nieodpowiada, lub wykonanie było nie właściwe, czy też policzą, że rytmika na trzy czwarte przynosi ujmę utworowi.

Może nawet będą uważali za zbędne umotywować fachowo te swoje twierdzenia. Może znajdą, że utworów nie można wykonywać interpretując indywidualnie, — że one muszą mieć jakąś ustaloną, zaskrzepłą formę wykonawczą, przed którą musi ustąpić ta indywidualność odtwórcza.

Jaka szkoda że niezawsze krytycy lubią się zapoznawać z wykonywanymi utworami bezpośrednio przed koncertem, bo wtedy łatwiej i trafniej można zorientować się w nieuniknionych błędach, przy tego rodzaju i w takich warunkach

przygotowanego koncertu. Jaka szkoda, że ci panowie nie ciekawi są przeprowadzenia dyskusji z wykonawcą o jego podejściu psychologicznym do dzieła. Przecież przynoszą w pierwszym rzędzie krzywdę swemu autorytetowi.

Z sali powiał jakiś przyjazny odruch. Spotkaliśmy się wzrokiem z Kulczyckim. Byłem mu wdzięczny za to, że dał mi możliwość jeszcze raz usłyszeć moje utwory — jeszcze raz przenieść się myślą wsłuchaną w motywy tak mi bliskie, do moich łąk i pól szumiących, wiosny mojej młodości. Byłem mu wdzięczny, że zetknął mnie z ludźmi swego otoczenia, doprawdy także zapaleńcami jak my.

Uśmiechnąłem się do orkiestry. Tak mi byli bliscy. W oczach wszystkich jarzyła się chęć jak najlepszego wykonania. Biedny, stremowany koncertmistrz, bardzo zdolny uczeń konserwatorium klasy skrzypiec, starał się opanować swoje nerwy.

Po odegraniu swoich utworów, powtórnie wszedłem na estradę, tym razem z pianistką. Biedulka była przerażona. Usiadłszy przy fortepianie coś chciała mówić jeszcze o swojej tremie, ale ostrzegłem ją, że każde słowo może być usłyszane przez radio. Wypowiedziałem to raczej gestem. Byłem spokojny. Wiedziałem, że orkiestra będzie posłuszną mojej batucie.

Pierwsze dwie części koncertu, według słów pianisty Szpinalskiego, przeszły w akompaniamencie orkiestrowym bardzo dobrze. A za akompaniament do trzeciej części koncertu należy mi się złoty medal. Siedział on w towarzystwie ludzi, interesujących się i moją działalnością muzyczną przy radio, słuchając koncertu katowickiego. Jako znakomity pianista, znający dobrze program muzyczny i posiadający w swoim repertuarze koncert Schumana, miał możliwość dokładnego orientowania się w sytuacji każdego momentu.

Nastąpił moment niebezpieczny. Słuchająca grupa przy radio struchlała. Gdy orkiestra wspólnie wyratowała groźną sytuację w trzeciej części koncertu, Szpinalski nie mógł powstrzymać się od oklasków przed odbiornikiem radiowym, które złączyły się z gorącymi oklaskami, jakimi mnie obdarzyła publiczność na sali koncertowej, i które rozniosły się echem po Polsce a może i dalej...

Po koncercie w nocy wracałem do Lublina, mając jeszcze trzeci pakunek: bukiet z biało-czerwonych kwiatów, — unosząc z sobą bardzo przyjazne wspomnienia i uznanie dla wszystkich, z którymi się zetknąłem, nawet jeśli są wśród nich tacy, którzy nie podzielają moich przekonań artystycznych.

SKŁAD INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH i ROWERÓW

FR. BOROWIECKI

LUBLIN, UL. KRÓLEWSKA Nr. 6

poleca w dużym wyborze

instrumenty smyczkowe, szarpane i dęte,
gramofony, płyty, igły. **Szkoły i nuty.**
Baterie i żarówki.



EUGENIUSZ DZIEWULSKI

T-wo Śpiewacze „Echo“

Dzieje Towarzystwa Śpiewaczego „Echo“ w Lublinie datują się od dnia 13 lipca 1928 r. kiedy to zwołane z inicjatywy dzisiejszego dyrektora K. K. O. w Lubartowie p. Bronisława Andrzejewskiego — zebranie organizacyjne pod przewodnictwem p. inż. Stanisława Szramowicza, uchwaliło powołać do życia towarzystwo śpiewacze pod nazwą „Echo“.

Uchwała ta stanowiąca w życiu kulturalnym Lublina ważny moment rozwojowy, jak wykazała niedaleka przyszłość, została powzięta przez następujące osoby, będące tym samym założycielami Towarzystwa: Stanisława Dżała, Jana Filipowicza, Juliana Janika, Juliana Kowalskiego, Franciszka Krzysztonia, Romana Pieczyraka, Ryszarda Pęczalskiego, Jana Rudnickiego, Stanisława Ryzukiewicza, Eugeniusza Sautera i Stanisława Szramowicza.

Pierwszy Zarząd Towarzystwa w wyniku walnego zgromadzenia odbytego w dniu 5 lutego 1929 r. ukonstytuował się następująco:

Prezes: Walerian Karasiński — b. wicewojewoda lubelski,
Wiceprezes: Roman Pieczyrak,
Sekretarz: Bronisław Andrzejewski,
Skarbnik: Teodor Sułkowski,
Gospodarz: inż. Stanisław Szramowicz,
Członkowie Zarządu: Julian Janik i Witold Grabowski.

Następnie prezesem Towarzystwa od 1930 r. do 1933 r. był dyr. Stanisław Zaczek, zaś od 1933 r. do chwili obecnej piastuje to stanowisko p. Władysław Długocki, wicewojewoda lubelski.

Dyrygentami chóru „Echo“ byli:

- 1) Faustyn Kulezycki — obecny dyrektor Konserwatorium Muzycznego w Katowicach,
- 2) Stanisław Bugajski — obecnie Naczelnik Wydziału Szkół Powszechnych w M. W. R. i O. P.
- 3) Czesław Ceglowski — profesor miejscowych szkół średnich, a od 1933 r. do dnia dzisiejszego Eugeniusz Dzie-

Towarzystwo Śpiewacze „Echo“ w Lublinie
pod kierownictwem EUGENIUSZA DZIEWULSKIEGO
nagrodzone III nagrodą (Ministra Spraw Wojskowych)
na Ogólnopolskim Zlocie Śpiewaczym w Warszawie w 1936 r.

Czwartek 11-ty marca 1937 r. o godz. 20-ej

SALA TOWARZYSTWA MUZYCZNEGO

Doroczny Koncert

Udział biorą:

CHÓR „ECHO“

EUGENIUSZ DZIEWULSKI

(dyrekcja)

AMELIA DŁUGOCKA

(śpiew)

LEOPOLD MODZELEWSKI

(skrzypce)

PROGRAM:

Część I

1. NIEWIADOMSKI — Grób Wikinga
2. LIPSKI — Piosenka
3. ŚWIERZYŃSKI — Idzie, idzie
4. — Hejże ino
5. WÄLTÉR — Hej, harda dziewczyno
6. MROSZCZYK — Na ten ugór
7. GALL — Piosenka żołnierska

Część II

- 8.a) DRDLA — Serenada
- b) WIENIAWSKI — Legenda
- c) MŁYNARSKI — Mazur
- 9.a) HÄNDEL — z op. „Rinaldo” — Pozwól mi płakać
- b) GLÜCK — aria z op. „Orfeusz w Piekło” — Chiamo il mio ben
- c) CHOPIN — „Żal”

Część III

10. WALLEK-WALEWSKI — Rokitna
11. DÖPLER — Modlitwa Turków
12. MONIUSZKO-NOSKOWSKI — Znasz li ten kraj
13. GALL — Rozpacz
14. LACHMAN — Krakowiak
15. ŚWIERZYŃSKI — Kołysanka
16. GALL — Krakowiak
17. „ — Bumgrat.

wulski, dyrektor Towarzystwa Muzycznego, Instytutu Muzycznego im. Stanisława Moniuszki i orkiestry symfonicznej w Lublinie.

Wicedyrygentem jest prof. Stanisław Iwański.

Obecny Zarząd Towarzystwa przedstawia się następująco:

Prezes: Władysław Długocki, wicewojewoda lubelski,
po raz czwarty,

Wiceprezes: Stefan Sauter, kapitan. po raz 4,

Sekretarz: Jan Waga, po raz 4,

Skarbnik: Franciszek Litwiński, po raz 7,

Bibliotekarz: Wacław Kowalski, po raz 4,

Gospodarz: Bolesław Dąbrowski, po raz 1,

Członek Zarządu: Bronisław Golc, po raz 2,

Inicjator założenia Towarzystwa p. Bronisław Andrzejewski jest członkiem dożywotnim, zaś p. Stanisław Bugajski otrzymał godność członka honorowego.

Początkowo Towarzystwo było zespołem mieszanym. Później, od 1933 r. ukształtowało się jako zespół męski.

II.

Za rok Towarzystwo Śpiewacze „Echo“ obchodzić będzie 10 letni jubileusz istnienia. Dziś już śmiało rzec można, że jakkolwiek zespół nie należy do najstarszych w Polsce, poszczycić się może nader pięknymi wynikami w swej działalności, wynikami, które na szali wysiłków czynionych przez stare, rutynowane zespoły nad budzeniem zamiatowania do

Towarzystwo Muzyczne w Lublinie

Sezon koncertowy 1936/37

pod kierownictwem EUGENIUSZA DZIEWULSKIEGO

Wtorek 16-ty marca 1937 r. o godz. 20-ej

V Koncert Symfoniczny

poświęcony twórczości

RYSZARDA WAGNERA

Udział biorą:

**Orkiestra Symfoniczna Tow. Muzycznego
i 8-go p. p. leg.****BOGUSŁAW SIDOROWICZ**

(dyrekcja)

IRENA CYWIŃSKA

(śpiew)

PROGRAM:

1. Uwertura — z op. „Der Fliegende Holländer”.
2. „Siegfried-Idyll”
3. Modlitwa — z op. „Tannhäuser”.
4. Wejście bogów do Walhalli — z op. „Das Rheingold”

P r z e r w a

5. Marsz — z op. „Meistersinger von Nürnberg”
6. Goniwa Walkirii — z op. „Die Walküre”
7. Ballada Senty — z op. „Der Fliegende Holländer”
8. Uwertura — z op. „Tannhäuser”.

pieśni, odgrywają poważną, a na terenie własnym ogromnie doniosłą rolę.

Oto w ciągu swego istnienia chór „Echo” brał udział w około 100 imprezach artystycznych, na które składały się

koncerty własne, akademie, obrzędy religijne i t. p. Nadzwyczaj bogaty i różnorodny repertuar, oraz bardzo wysoki poziom artystyczny wykonania zdobył zespołowi „Echo” wielką popularność w Lublinie, a naskutek ostatnio odniesionych sukcesów rozgłos w całej Polsce.

Po pierwszym sukcesie, jakim niewątpliwie był występ „Echo” dnia 30 kwietnia 1936 r. z koncertem przed mikrofonem Warszawskiej Rozgłośni Polskiego Radzia, transmitowanym przez wszystkie rozgłośnie polskie, nastąpił nierównie ważniejszy, bo zdobycie III-ej nagrody (Ministra Spraw Wojskowych) na turnieju śpiewaczym zorganizowanym w dniu 29 czerwca 1936 r. podczas zlotu śpiewaków polskich z kraju i z zagranicy za wykonanie utworu Bolesława Wallek-Walewskiego „Rokitna” pod dyrekcją E. Dzewulskiego. Fakt ten tym większego znaczenia, nabiera że przed chórem „Echo” z Lublina znalazły się na kilkadziesiąt zespołów biorących udział w turnieju tylko „Harfa” pod dyr. W. Łachmana, „Echo” łódzkie i chór K. P. W. pod dyr. A. Stadlera.

Z zamierzeń Towarzystwa na najbliższą przyszłość najważniejszym jest projekt urządzenia szeregu koncertów po mniejszych ośrodkach zarówno miejskich jak i niektórych wiejskich województwa lubelskiego. Dzięki oddanej pracy obecnego prezesa Towarzystwa, p. wicewojewody Długockiego, oraz nader życzliwemu poparciu władz administracyjnych i samorządowych, jak również Związku Pracy Kulturalnej i uważać należy realizację tych projektów, mających na celu popularyzację i budzenie zamiłowania do muzyki i pieśni wśród najszerzych warstw społeczeństwa, za całkowicie możliwe.

Z uznaniem należy podkreślić jaknajbardziej przychylne ustosunkowanie się prasy do prac i zamierzeń „Echo”, która doceniając w pełni znaczenie tej instytucji, gotowa jest zawsze do bezinteresownego zamieszczania artykułów i recenzji nie szczędząc słów szczerzego entuzjazmu jak i głosów obiektywnej krytyki. Zważywszy ponad to prawdziwie szczerą sympatię, jaką społeczeństwo miejscowe obdarza chór „Echo”, wypływającą w znacznej mierze z dumy posiadania w swym gronie tak zaszczytnie wyróżnionego zespołu śpiewaczego trzeba przyznać, że warunki pracy układają się na przyszłość bardzo pomyślnie. Towarzystwu więc pozostaje tylko troska o dalszy należyty poziom artystyczny, co zresztą pod wytrawnym obecnym kierownictwem znanego kompozytora i utalentowanego dyrygenta jest w zupełności zapewnione.



Bogusław Sidorowicz.**Autoreportaż.**

Urodziłem się we Lwowie przed tak wielu laty, że nie zdążyła głowa, pełna wiecznie młodych myśli, pokryć się siwizną. Uczyłem się wiele, naprzód w rodzinnym mieście, po tym w styryjskim, wieńczonym wierzchołkami Alp Grazu, Berlinie i Wiedniu. Staralem się zamłowania swe muzyczne pogodzić z zainteresowaniami filologicznymi, co mi się udawało tym łatwiej, że nie wyniosłem z domu rodzinnego ani miłości do muzyki, ani też do wiedzy i nauki ścisłej. Studia nad gramatyką porównawczą i nad sanskrytem nie potrafiły, w każdym razie, zabić we mnie potrzeby muzyki, która podświadomie niemal kielkowała gdzieś na dnie mej dziwnej duszy.

Długoletni pobyt wśród społeczeństwa niemieckiego wywarł na kształtowanie się moich poglądów muzycznych bardzo silny wpływ, którego rezultatem najbardziej jaskrawym jest rozkochanie się w muzyce wagnerowskiej.

Wojnę spędziłem w Legionach Polskich, zdobywając w 6 pp szlify oficerskie. Żołnierka stała się od tego czasu mym żywiołem. Dla niej rzuciłem, tak drogie mi niegdyś, zmagania się z nauką, dla niej też zawiesiłem na kołku na lata całe muzykę. Wróciłem do tej mojej muzyki dopiero w 1925 roku, kiedy mi kazano prowadzić referat muzyczny w M. S. Wojsk. Jednakże tęsknota za nauką oderwała mnie jeszcze raz na całe długie cztery złe lata mego życia od umiłowanej pracy na polu muzycznym, kiedy poszedłem na stanowisko dyrektora nauk w Korpusie Kadetów w Rawiczu. Znowu wróciłem do muzyki zimą roku 1934 powołany do pracy w referacie muz. Min. W. R. i O. P..

Obecnie napowrót utonąłem w M. S. Wojsk. w swym gabinecie, zawalonym książkami i nutami, skąd kieruję pracami i życiem orkiestr wojskowych.

Kiedy sięgam oczyma wstecz na swój trud życia, to widzę, że nie tylko pracowałem nad organizacją życia muzycznego w Polsce, ale też starałem się w miarę sił działać twórczo jako kompozytor. W dorobku moim sporo jest utworów, ale nie przedstawiają one wartości głębszej. Nie widzę w nich oryginalności. Ciasne ramy mego życia muzycznego, w ostatnich czasach, wytknięte przez pracę zawodową, kazały mi specjalizować się w muzyce wojskowej, zawartej przede wszystkim w drobnych formach. Dla niej musiałem porzucić marzenia o wielkiej muzyce, jakie mi się rodziły w duszy w obliczu gigantycznych dzieł L. v. Beethovena i Ryszarda Wagnera. Nie wiem, czy znowu życie nie każe mi odejść od tej mojej umiłowanej sztuki. Byłoby mi już teraz trudno ją rzucić.

Irena Cywińska.

Dzieciństwo i lata szkolne Ireny Cywińskiej zbiegły w starym grodzie krakowskim w Kijowie. Wyniosła ona ze swej naddnieprzańskiej krainy, w której krzyżują się wpływy polskiej ruskiej, głęboką tęsknotę za muzyką i umiłowanie śpiewu tak bardzo znajomemu dla ludzi, pochodzących z tamtych stron. Odbiwało poważnie studia wokalne u znakomitego śpiewaka i pedagoga prof. Leliwy w Kijowie, w krótkim czasie rozwinęła się Cywińska na śpiewaczkę, w całym tego słowa znaczeniu, doskonałą, łącząc wybitną muzykalność i piękno głosu z dużą kulturą i osobistym wdziękiem.

Przez szereg lat śpiewała w operze poznańskiej, świetnie prowadzonej przez nieodżałowanego Piotra Stermicza, następnie zaś przez kilka sezonów pracowała w operze warszawskiej, lwowskiej i krakowskiej, wszędzie odnosząc wybitne sukcesy. Kiedy przed dwoma laty Kiepusa wystąpił w Krakowskiej operze w „Tosce“, Cywińska śpiewała partię tytułową, dzieląc się w pełni zasłużonym triumfem ze znakomitym tenorem. Również wielkim powodzeniem cieszyły się jej występy za granicą na estradach Drezna i Pragi.

Partie Elzy z „Lohengrina“, Senty z „Latającego Holendra“ i Elzbiety z „Tannhäusera“, należą do najlepszych w bogatym repertuarze świetnej śpiewaczki. Artystka łączy w nich siłę wyrazu dramatycznego z ciepłem liryzmu i dostojną powagą, dając skończone kreacje śpiewaczki wagnerowskiej.

Osobiste

Od niniejszego numeru czasopisma „Lubelskie Wiadomości Muzyczne“ wydawcą tego organu staje się — Towarzystwo Muzyczne w Lublinie, — pod redakcją Władysława Wierzbickiego.

Śpiew w kościele

W kościele O. O. Kapucynów zawsze podczas Mszy św. w niedzielę słyszymy śpiew i muzykę, w skromnym ale pięknym podaniu. Ostatnio popłynęły z chóru pieśni religijne kpt. Albina Domiczka i pprok. Juliana Sirko przy akompaniamencie prof. Grzywy. Interpretacja wykonawców stworzyła podniosły nastrój u rzeszy wiernych.

Muzyka u kolejarzy.

Oddawna istnieje w środowisku naszych kolejarzy chór męski, który pod sprężystym kierownictwem p. Tadeusza Markowskiego prosperuje mimo wszelkie trudności trudności organizacyjne. Chór cieszy się poparciem li-tylko pracowników działu mechanicznego, który również zasila dętą orkiestrę pod kierownictwem wytrawnego kapelmistrza i kompozytora kpt. Józefa Koseckiego. Bojącą tych zespołów są braki personalne, co tłumaczyć należy słabym zainteresowaniem szerszego ogółu kolejarzy tak zubożnymi poczynaniami ofiarnej garstki miłośników muzyki z ich zapracowanymi w nauczaniu techniki muzycznej dyrygentami.

A jednak w środowisku muzycznym kolejarzy życie pulsuje i daje owoce. Podkreślamy to z prawdziwym zadowoleniem.

PRZEGLĄD PRASY.**Nowy numer „Muzyki“.**

Nowy numer tego popularnego czasopisma zawiera wiele ciekawego materiału, który zainteresować może nie tylko fachowców ale każdego miłośnika sztuki.

Na wstępie znajdujemy piękny artykuł sławnej śpiewaczki Ewy Bandrowskiej-Turskiej, która pisze o doskonałości w śpiewie na podstawie doświadczeń i refleksyj, jakie nastąpiły się podczas jej intensywnej i chlubnej działalności artystycznej w kraju i za granicą. Interesujący i wysoce aktualny szkic o „Muzyce krwawiącej Hiszpanii“ zamieszcza znany badacz i teoretyk Karol Hławiczka. Ryszard Werner w cyklu „Współcześni kompozytorzy polscy“ daje wyrazistą syntezę twórczości J. Maklakiewicza.

W części drugiej numeru, poświęconej przeglądowi ruchu muzycznego znajdujemy aktualne „Impresje Muzyczne“ i recenzje warszawskie redaktora „Muzyki“ Mateusza Glinńskiego, następnie przegląd transmisji radiowych, nowych wydawnictw, prasy, płyt gramofonowych.

W „Skrzynce listów“, m. in. głos zabiera Adam Dołżycki w liście zatytułowanym „Dołżycki—posterunkowym P.P.“.

Sensacją, która zasługuje na specjalne omówienie jest reprodukcja zupełnie nieznannej w Polsce, pochodzącej z ostatnich lat życia Szopena fotografii jego (d a g e r o t y p u), która przechowywana jest w archiwach firmy Breitkopf i Haertel.

Zarówno wysoce artystyczną, pogłębianą i żywą treścią jak i wytworną szatą, „Muzyka“ uważana być musi dziś za reprezentacyjne pismo artystyczne, godne poparcia i zainteresowania szerokich sfer społeczeństwa.

ALBIN DOMICZEK

LUBLIN, Kościuszki 1.

poleca wyroby
POLSKIEGO MONOPOLU TYTONIOWEGO
i ZAGRANICZNE.

Bogaty wybór gils i przyborów do palenia.

W. PIOTROWSKI

ZEGARMISTRZ

LUBLIN, UL. KOŚCIUSZKI 1

POLECA W DUŻYM WYBORZE:

ZEGARKI, ZEGARY, BUDZIKI.

PRACOWNIA NA MIEJSCU. —

Wymowa podanych obrotów jest najlepszą reklamą jakości wyrobów

ZAKŁADÓW PRZEMYSŁOWYCH „K. R. VETTER“

wł. T. KARSZO-SIEDLEWSKI W LUBLINIE

ROK 1934

Fabryka wódek, likierów i koniaków „K. R. Vetter“ sprzedała w całej Polsce 50 tysięcy butelek różnych wódek po 0,5 litr.

Browar Parowy „K. R. Vetter“ sprzedał w wojew. lubelskim 600 tysięcy litrów piwa.

Fabryka lemoniad i wód gazowych „K. R. Vetter“ sprzedała w wojew. lubelskim 100 tysięcy butelek wód gazowych.

Fabryka słodu „K. R. Vetter“ wyprodukowała na eksport do Ameryki 250 tysięcy kilogramów słodu.

ROK 1935

R Fabryka wódek, likierów i koniaków „K. R. Vetter“ sprzedała w całej Polsce **O ĆWIERĆ MILIONA** butelek różnych wódek po 0,5 litr.

R G Browar parowy „K. R. Vetter“ sprzedał w wojew. lubelskim **A JEDEN MILION** litr. piwa czyli **N DWA MILIONY** butelek.

Z I Fabryka lemoniad i wód gazowych „K. R. Vetter“ sprzedała w wojew. lubelskim **A ĆWIERĆ MILIONA** butelek wód gazowych.

J A Fabryka słodu „K. R. Vetter“ wyprodukowała na eksport do Ameryki **DWA I PÓŁ MILIONA** kilogramów słodu.

ROK 1936

Rozwój firmy zawdzięczamy: reorganizacji dawnych metod pracy
nowoczesnym urządzeniom
podniesieniu jakości wyrobów
lojalnej współpracy z władzami
regularnemu płaceniu podatków
zwalczeniu nieuczciwej konkurencji.

Magazyn Żyrardowski

ul. Krak.-Przedm. № 6.

wł. KAROL FREYBERG

poleca w wielkim wyborze wszelkie

WYROBY ŻYRARDOWSKIE

wykwintną bieliznę damską i męską, oraz trykotażę firmy JAN MATUSZEWSKI.

DRUKARNIA POPULARNA

W LUBLINIE
ŻMIGROD № 1
TELEFON 16-53

WYKONYWUJE
WSZELKIE
ROBOTY
DRUKARSKIE
PO CENACH
NAJNIZSZYCH!

Dowodem rozumnej przezorności
i siły charakteru, jest posiadanie

K. K. O.

książeczki oszczędnościowej

K. K. O.

KOMUNALNEJ KASY OSZCZĘDNOŚCI

w Lublinie, ulica Kapucyńska Nr. 4.

PRENUMERATA: półrocznie 2 zł 40 gr, kwartalnie 1 zł 20 gr. Pojedynczy numer 25 gr
Adres redakcji: Lublin, 3-go Maja 8 m. 29, tel. 22-10. Adres administracji: Staszica 14, tel. 14-04

Wydawca: Towarzystwo Muzyczne w Lublinie.

Redaktor: Władysław Wierzbicki.

Redakcja rękopisów nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian.

Odbito w Drukarni „POPULARNEJ“ Lublin, Żmigrod 1, telefon 16-53.

